Nr. 36 Rok 4 Kraków, dnia 5 września 1943. 40 gr.

Pestrowamy

KU[illegible]OLSKI

ZAKOŃCZYŁY SIĘ WAKACJE...

Fot. Barak

Wielka bitwa

Fot.: PK. Rynas (2), Lechner (2), Mehl, Mittelstädt — PBZ, Hoffmann — Atl, Bauer-Altvater — TO, Muck, Scheffler — Sch.

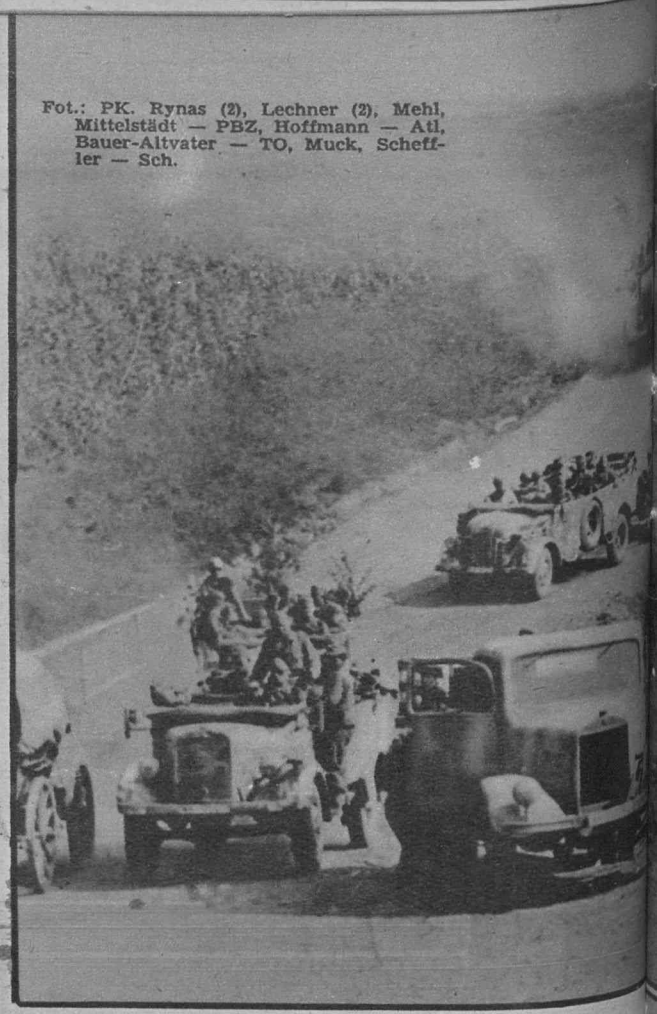

Na lewo:
Na wysuniętej placówce obserwacyjnej niemiecki dowódca armii bada teren przez obiektyw lunety. Widać stąd całkiem wyraźnie wszystkie szczegóły nieprzyjacielskich linii.

U góry:
Poza frontem bez przerwy ciągnie drogą sznur wozów z zaopatrzeniem dla armii

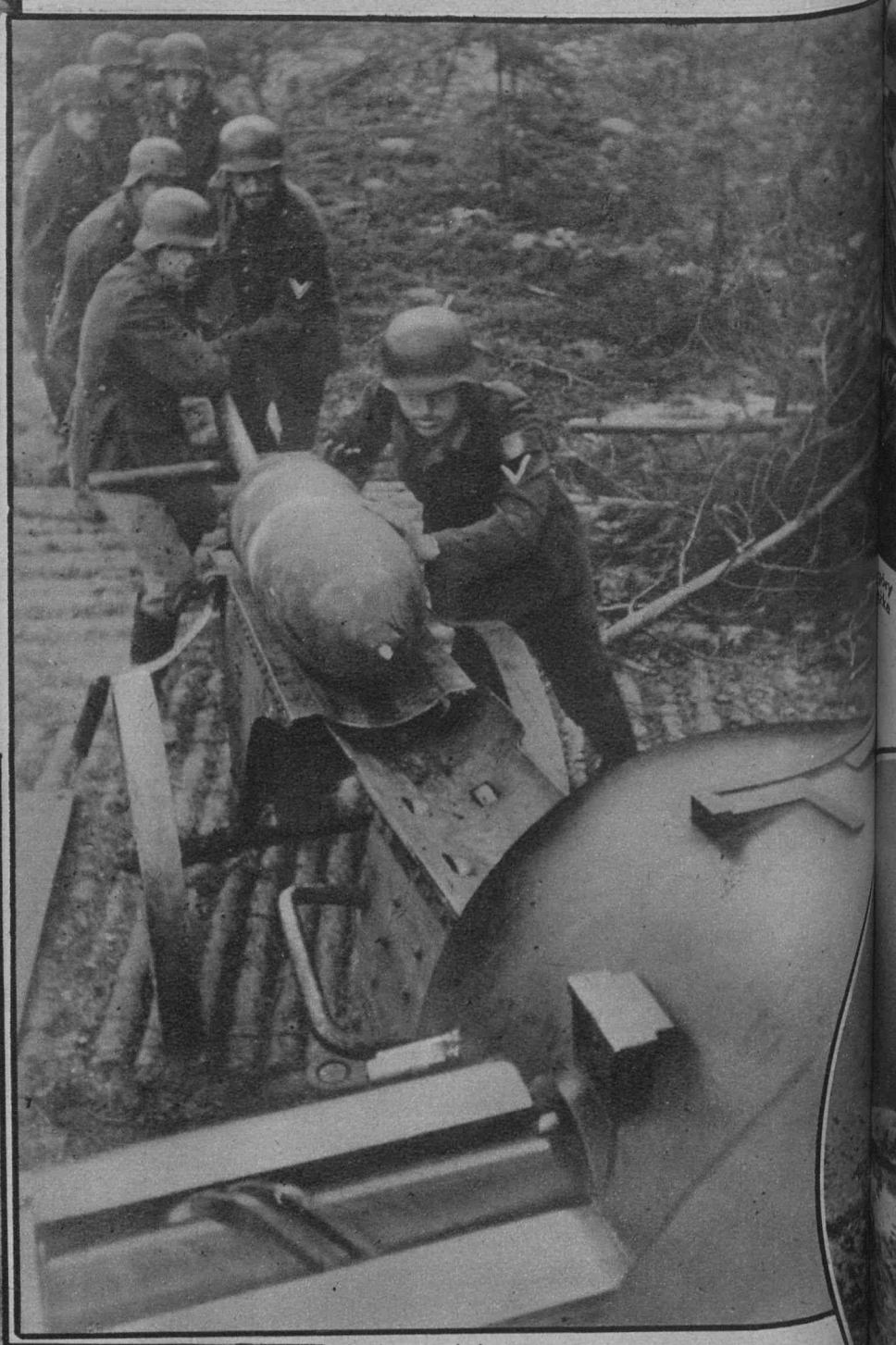

Na lewo w kole:
Bateria niemieckich miotaczy mgły bierze udział w nocnej walce.

Na lewo:
Szybkostrzelne pancerne działo obronne w akcji.

Na prawo:
Kurier konny pędzi z ważnymi meldunkami z frontu na plac dowódcy.

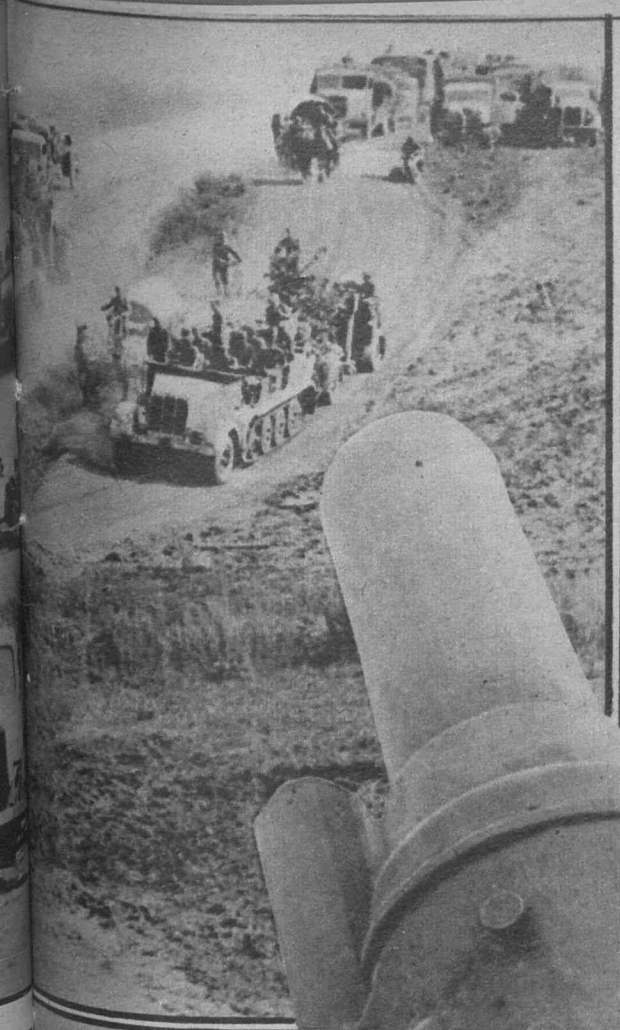

Działa niemieckie w drodze na front.

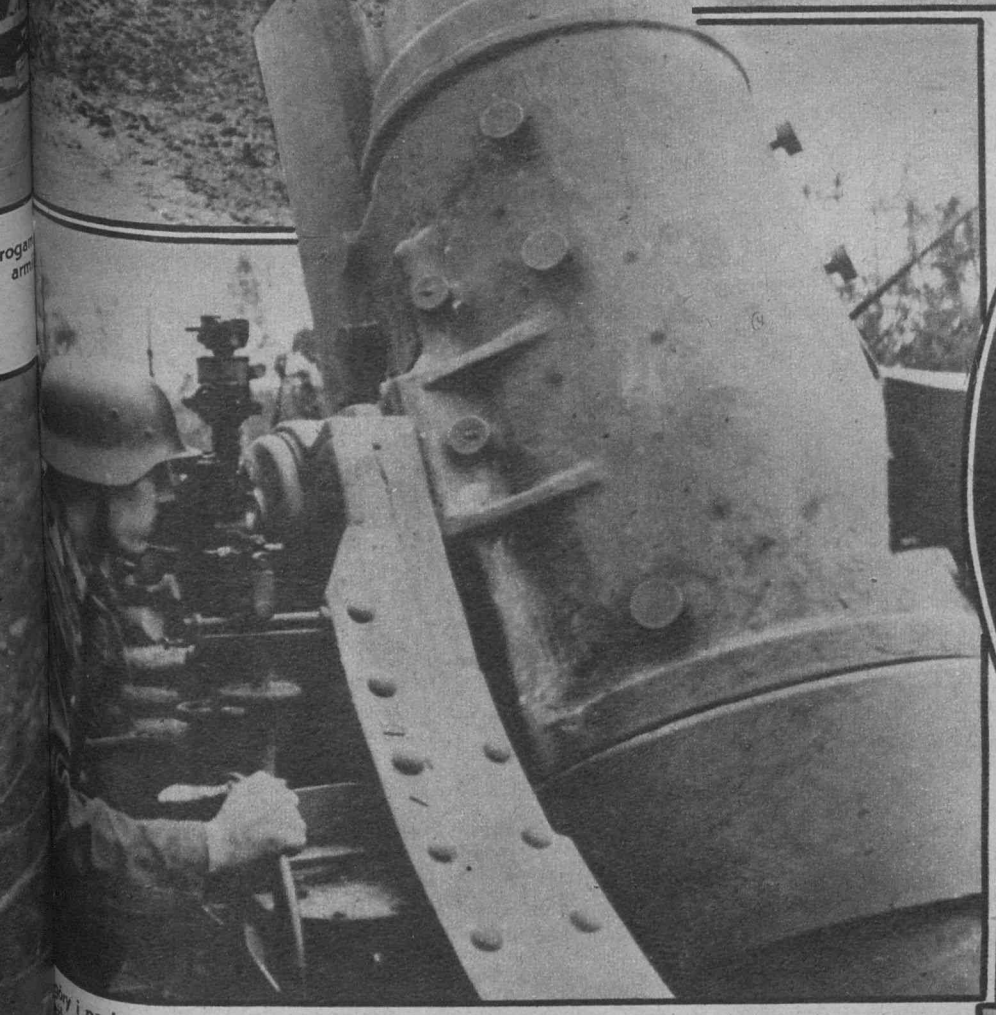

Powyżej i na lewo:
Niemiecka artyleria niemiecka wspiera grenadierów podczas bitwy. Żołnierze bez przerwy ładują granatnik i obrzucają granatami nieprzyjacielskie linie.

Powyżej:
Niemieckie działa okrętowe na Morzu Czarnym podczas walki toczącej się wśród nocy.

U dołu:
Jeńcy sowieccy udają się do obozu zbiorowego.

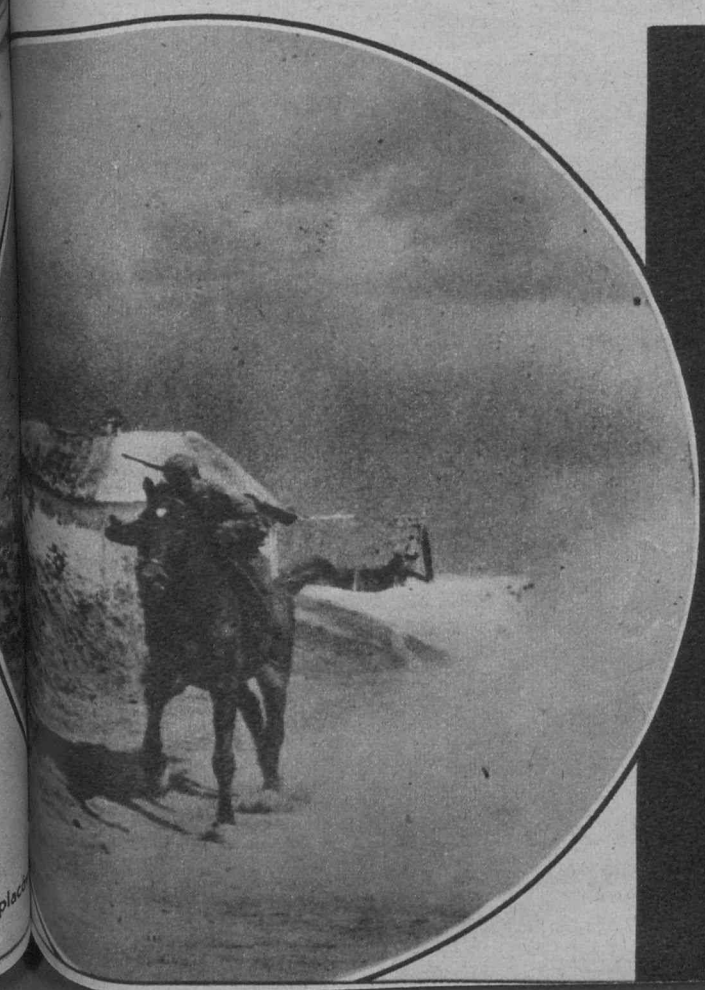

na Wschodzie

druk nut

nutowy

Nuty nie są literami, wiele trudu wymaga układanie ich, jak czcionek obok siebie, nie można ich również składać maszynowo, jak się dzisiaj niejednokrotnie praktykuje przy druku nawet bardziej skomplikowanego pisma książek i czasopism. Możliwości kombinacji pisma nutowego są tak liczne, że nie może im sprostać nawet najbardziej udoskonalona maszyna zecerska. Weźmy choćby akordy. Jakiejż wymagają one różnorodności w rozmieszczeniu nut, z których jedna np. przedstawia ćwierć nuty, inna ½-mą część, a inna połowę. A pomyślmy jeszcze o łączeniu nut przy pomocy linii i łuków różnej długości, o pisaniu ich na liniach pomocniczych . . . A wszystko to musi być zmieszczone w pięcioliniowym układzie nut i nadto między liniami trzeba jeszcze zmieścić najrozmaitsze znaki wykonania. Takiej pracy nie jest się w stanie zmechanizować. Uproszczenie procederu drukowania nut

Nuty układa się według manuskryptu. Korekty można dokonać kilku ruchami rąk.
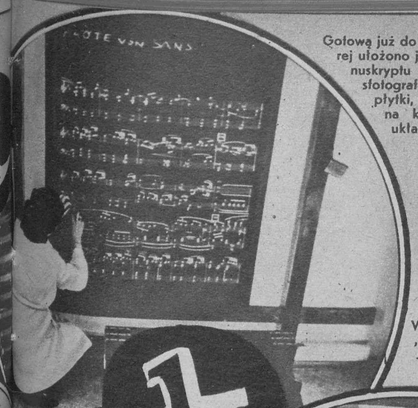
Gotową już do druku tablicę, na której ułożono już jedną ze stron manuskryptu fotografuje się. Po sfotografowaniu wyjmuje się płytki, ściera farbę z tablicy, na której znowu można układać nowe nuty.

Fot: Eurofot

Wynalazca systemu „Gloria" Rudolf Junge.

Przeźroczysta kartka nutowa jest „negatywem" sfotografowanej tablicy. Służy ona za pozytyw dla druku nut.

W ten sposób od stuleci sporządzano nuty. W metalowej płytce, ryto linie, a następnie rytownik wykuwał na nich rylcem znaki nutowe. Na stole widzimy narzędzia służące do tego procederu.

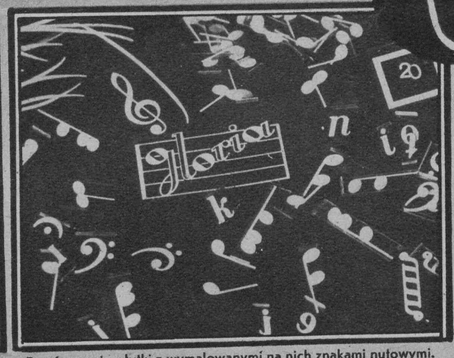

Przeźroczyste płytki z wymalowanymi na nich znakami nutowymi. Widoczne tu jeszcze brzegi płytek stają się niewidoczne przy odpowiednim oświetleniu, gdy się już fotografuje gotowe do druku tablice.

Całe partytury i utwory na fortepian, można składać bardzo szybko systemem „Gloria".

Podobnie jak czcionki w skrzynce zecerskiej, leżą tu w przegródkach, przeźroczyste płytki, z namalowanymi na nich znakami nutowymi.

Aby przeprowadzić jedynie kosztem samej muzyka zaś jako najbardziej wolna ze wszystkich nie może być zależna od techniki swego pisma. Dotychczas powiela się nuty na dwa sposoby: Albo wykonuje się pismo ręczne, który to proceder pociąga za sobą przedrukowanie wszystkich niedociągnięć i braków indywidualnego pisma ręcznego, albo też ryje się nuty na płycie metalowej, służącej za podkład druku. Jednak długotrwały proces, wymaga doświadczonych fachowych i zużywa wiele materiału.

Po wieloletnich próbach ulepszenia procedury druku nut, berlińczyk Rudolf Junge przedłożył światu muzycznym swój nowy system powielania nut, zwany nutami „Gloria". Nowy system przewyższa każdym względem dotychczasowe metody druku nut, bo nie tylko ułatwia znacznie pracę, ale daje doskonała jakość i szybkość uzyskania kopii. System ma więc wiele zalet. Junge pracuje na wielkiej tablicy zaopatrzonej w poziome rowki, które na biało służą jako linijki nutowe. — W razie potrzeby zwiększa się lub zmniejsza odstęp między liniami. Wszystkie znaki pisarskie nutowe umieszcza się na przeźroczystych płytkach i są na biało malowane. Można je wsuwać na rowki, względnie z rowki, i w ten sposób uzyskać każdą możliwą kombinację nut.

System „Gloria" daje ogromną korzyść przy sporządzaniu nut dla poszczególnych głosów. Dotychczas przy drukowania partytury, musiano osobno ryć głosy poszczególnych instrumentów. Sporządzenie nut dla poszczególnych głosów względnie instrumentów dla całej orkiestry kosztowało bardzo wiele. Dlatego w ogóle ich nie drukowano, a każda orkiestrująca wypisywała ręcznie nuty na poszczególne głosy. Natomiast „Gloria" sporządzanie nowych druków poszczególnych instrumentów nie przedstawia żadnej trudności. Głosy wyjmuje się po prostu z partytury i podobno fotografuje.

Czytanie korekty. Rzeczoznawca muzyczny kontroluje wraz z zecerami gotową już do druku stronę.

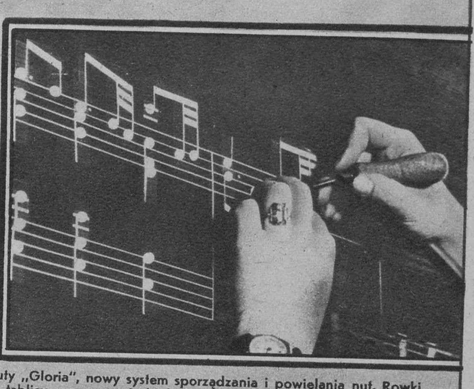

Nuty „Gloria", nowy system sporządzania i powielania nut. Rowki na tablicy napuszcza się białą farbą, następnie wsuwa na nie przeźroczyste płytki z białymi znakami nutowymi.

ODNAWIANIE HIEROGLIFÓW

Konserwator bada staroegipską maskę mumii. Ziepiono ją z liści papirusa, na którym można odcyfrować niekiedy interesujące teksty hieroglifowe.

Prawie nadludzkiej cierpliwości i trudu wymaga odrestaurowanie manuskryptu papirusowego. Nieraz całe dziesiątki lat musi trwać posegregowanie na poszczególne strony rozlatujących się w kawałki i zbutwiałych strzępków papirusa lub skrawków pergaminu. Toteż na prawdziwy podziw i uznanie zasługuje niesłychanie żmudna praca konserwatora, który potrafi odtworzyć całe księgi zapisane hieroglifami, mając do dyspozycji jedynie bardzo proste środki pomocnicze: maleńkie węże gumowe do usuwania kurzu i najdelikatniejsze pincetki, którymi się ujmuje niedostrzegalne niemal gołym okiem cząsteczki manuskryptu, oraz miniaturowe paseczki papieru napuszczonego klejem, a służącego do sklejania należących do siebie cząsteczek papirusa czy pergaminu. Pracę tę można porównać z układaniem mozaiki z niesłychanie drobniutkich cząstek. Nieomal całe tygodnie trwa złożenie maleńkiej kartki papirusa. Twórcą specjalnej metody odrestaurowywania starożytnych manuskryptów jest berliński konserwator dr. Ibscher. Uratował on od zagłady dużą ilość niezmiernie cennych manuskryptów. Największym wyczynem zasłużonego konserwatora było odrestaurowanie dzieł Maniego, założyciela perskiej religii. Ibscher odnowił także słynny „Kodeks Argenteus" w Upsali. Uratował od całkowitego rozpadnięcia się „Awestę" z biblioteki kopenhaskiej. W roku 1929 pracował Ibscher w Konstantynopolu nad restauracją już prawie całkiem zbutwiałych, dzieł Ptolomeusza. W roku 1927 papież powołał go do Rzymu celem odrestaurowania papieskich dokumentów z czasów wczesnego średniowiecza. W roku 1930 uchronił od zagłady sławny papirus królewski w Turynie. Ostatnie lata swego życia poświęcił Hugo Ibscher konserwowaniu przed zniszczeniem poważnie już zagrożonych manuskryptów kompozytora Bacha znajdujących się w berlińskiej bibliotece państwowej.

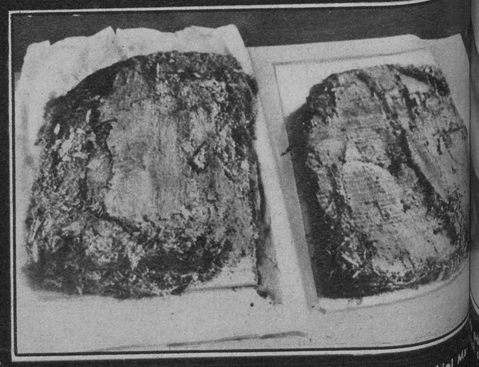

W tym stanie znaleziono manuskrypt założyciela religii staroperskiej Manego. Sztuka rekonstruktora znów przywróciła go do życia.

Spalone, stare pismo ręczne na pergaminie. Z całą starannością wygładzić strzępki tego manuskryptu i następnie złożyć, części pasujące do siebie.

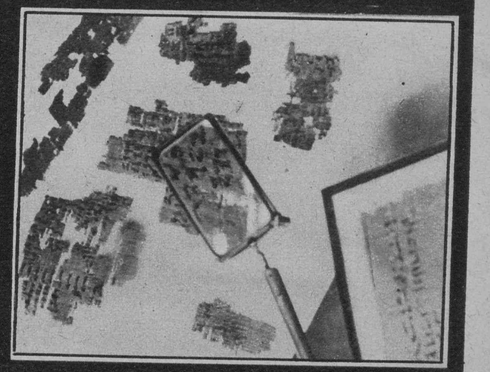

Z niezwykłą cierpliwością sortuje się kawałeczki tekstu hieroglifowego i składa dokładnie, a następnie skleja je między płytkami szklannymi.

Fot: Sailer

W trosce o zdrowie

Dalszym krokiem na drodze zapobiegania epidemiom w Generalnym Gubernatorstwie jest aktualne obecnie szczepienie całej ludności przeciw tyfusowi brzusznemu. Szczepienie polega na wszczykiwaniu serum do krwi. Na skutek szczepienia uodparnia się organizm przeciw chorobie wytwarzając antytoksyny. Ich to zasługą jest, że człowiek pozostaje zdrowym mimo stykania się z chorymi nawet w wypadku przedostania się bakterii chorobowych do organizmu ludzkiego. Po raz pierwszy zastosował szczepienie ochronne lekarz Edward Jenner w roku 1796.

W krajach, które wprowadziły u siebie przymus szczepienia znikły wielkie epidemie.

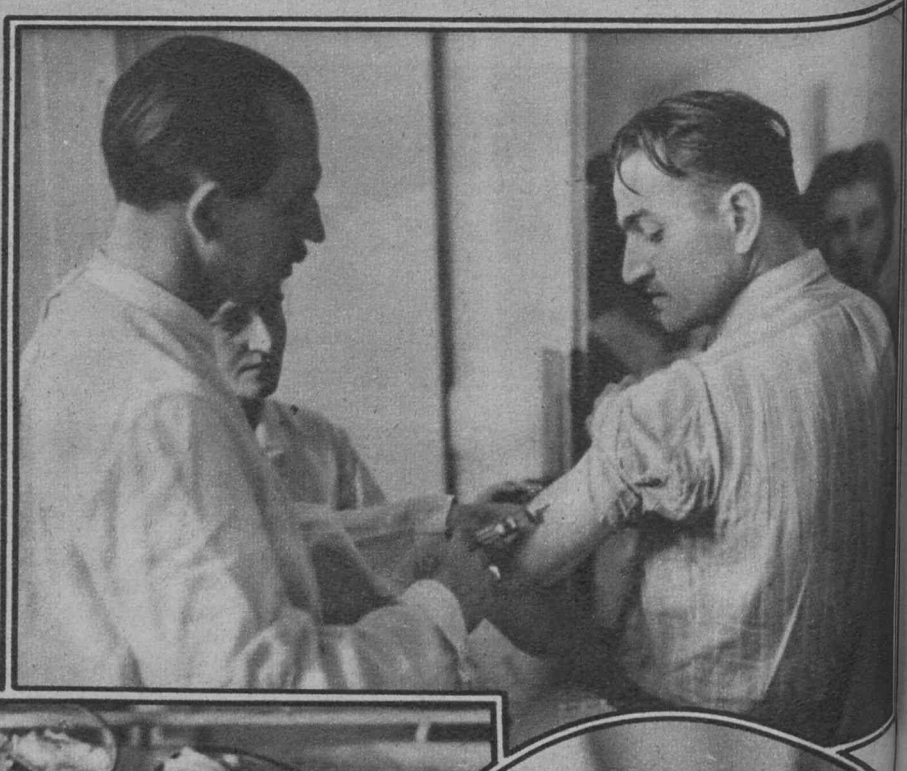

U góry na lewo: Miejsce, w które wbija lekarz igłę oczyszcza się eterem.

U góry: Szpryca służąca do szczepienia. Na miseczce leżą wydrążone w środku igły, przy pomocy których dokonuje lekarz szczepienia. Przed szczepieniem dezynfekuje się je przez wygotowanie w wodzie.

Fot. Borek

DZIEDZICTWO

TADEUSZ KOMOROWSKI

3.

Od Berdy też się wybierali do kościoła. Została tylko Tereska, aby chorego pilnować. Pomyła naczynia po śniadaniu, zamiotła izbę, nanieciła watrę na nalepie i wstawiła potężne gary z grulami i kapustą.

— — — — — — — — — — —

Hanusia wchodziła właśnie do mrocznego, drewnianego kościółka, kiedy zazberczał dzwonek i msza się rozpoczęła. Zagrały organy, jak wicher halny, kiedy pędzi od wirchów groźny i mocarny, by zniszczyć lasy, unieść chałupy i precz nimi prasnąć. Zakołysał się lud i pokorne swe serca rozsypał modlitewnym gestem przed tronem Najwyższego. Zapatrzeni byli w biały klejnot monstrancji, a dusze ich podnosiły się, jak te dymy z trybularza. Zadźwięczała pieśń: „Przez Twoje święte Ducha zesłanie, Boże odpuść nam nasze zgrzeszenie"... i popłynęła, ważąc swe skrzydła, niby ptak złoty. Wystraszone jaskółki tłukły się obłąkańczo pod nawą kościółka, uderzając co chwilę o omodrzone lazurem niebiosów szyby. A pieśń organowa płynęła, jak ten potok, zberczący sobie najprzód z cicha, gdy skwarem spękana ziemia umiera; potem wzbierała na sile i już, jak rozszalałe wody siklaw, spadających w gardziele przepaści — kłębiła się we wszystkich zakątkach świątyni.

Hanka klęczała tuż koło ołtarza, gdzie dumni rozparli się gazdowie: Staszele, Hatosy, Łatosy i inne znakomite rody. Trzymała książkę, lecz co chwilę odrywała od niej oczy i latała nimi ukradkiem po poważnych twarzach przednich gazdów, którzy kołysali się na dźwięk dzwonka, niby ten bór odwieczny, którym halny potrząsa. Uciszyło się. Wyszedł ksiądz na ambonę i po odczytaniu zapowiedzi i ewangelii rozpoczął podniosłe kazanie. Mówił pięknie, mądrze o miłości bliźniego i wskazywał na ciężkie przewiny wśród rodzin, na które codziennie ma możność patrzeć:

— Zawiszczą sobie — wołał podniośle — tego kawałka gruntu, wydzierają sobie podstępnymi i niegodnymi katolika sposobami zapisy, czy zlecenia, które ojce dali przed swą śmiercią.

Wzdrygnęła się Hanusia na te słowa i rumieńce oblały jej twarz. Spojrzała po twarzach skupionych gazdów, czy w ich oczach nie znajdzie dla siebie przygany. Ale oni, wpatrzeni w kapłana, słuchali słów Bożych.

— Mówię wam — wołał kaznodzieja głosem wielkim — prędzej przejdzie wielbłąd przez ucho igielne, niżeli jeden z was, gdy nie darujecie sobie win.

Mówił potem, że stosunek ich do Boga jest oziębły, podobny do północnego wiatru, ścinającego wszystko lodem.

— Więc, aby odmieniły się serca wasze niechaj spłynie Duch Święty, by w nich rozpalić ogień miłości... amen.

W kościele zrobił się szum. Rymnęli wszyscy, jak fala pełnokłosnych łanów, przygięta nagłą wichurą.

Po mszy wylegli wszyscy przed kościół. Przystawali w gromadach, pogadując poważnie i życząc sobie wzajemnie szczęśliwych świąt. Zabielił się, zaczerwienił i zamodrzył cmentarz i droga, iż rzekłbyś: kwiaty ktoś szczodrą ręką rozrzucił.

Hanusia też stała na boku pięknie ubrana; spódnica zielona w ogromne kwiaty wzorzysta, bluzka haftowana, przyciśnięta błękitnym gorsem, czerwieniła się pod szyją pięciokrotnym zwojem korali.

Była samotna. Toteż rozglądała się po idących ludziach, czy nie zobaczy kogo z gazdów, których chciała zaprosić na popołudnie, by przyszli do Berdy pogwarzyć. W tłumie spostrzegła Wicka, który stał z chłopakami i przedrzeźniał się z idących dziewuch. Zazdrość ukąsiła ją w samo czujące serce. Poszła wolno ku drodze. Stały też obok biedniejsze chałupnice, pomiędzy którymi znalazła się również kąśliwa Mrowcowa, zezująca szydliwie w stronę Hanusi.

— Pozierajcie hań — rzekła cicho do kumoszek — juści nasza dobrodziejka... o, jak sie wystroiła. Każ ona tak sie ozgląda — hę? Przemyśno! Niby na gazdów zaziera, a bestyjo Wicka suka i medytuje kie go haw zawołać.

W drugiej grupie stały znów młode dziewczęta, co chwilę wybuchając srebrnym, wesołym śmiechem, bo pomiędzy nimi stał Jędrzych z Dudkówki a że okpiśny był, więc śpas robił z nimi.

Gwarno było przed kościołem, jakby na lipie, gdy go pszczeli rój obsiędzie. Duszno było. Starzy gazdowie i bacowie przepowiadali z tego wielki deszcz. Wkrótce zaczęli się rozchodzić, wielkimi barwnymi strugami płynąc po wzgórzach i wklęsłościach.

Hanka szła sobie wolno przez łąki ku chałupie, gdy nagle dopadł ją Wicek:

— Hanula! Hanula! — zawołał wesoło — lecisz kieby ta jaskółka, co pod niebem swe skrzydła waży... a ja haw jestem jastrząb, co ciebie porwać chce!

Nic mu nie odrzekła. Szła trochę nadąsana, a on obok niej widział się jako ten smrek smukły, gibki i kołyszący się, gdy go wichr przegina.

— Coś to omroczała, kieby to niebo przed burzą — hę? — zapytał, zwarzony jej milczeniem.

Szli jeszcze tak długo milczący. Roiły się Wickowi różne przykre myśli.

— Walny z ciebie kawaler — odrzekła nagle — hakainaksy, by do panny w kłucecki przyleciał, a ty hań stojałeś, kieby niemrawa... aż mnie wstyd było. Pśkali już na mnie, pśkali, szydercymi pokazując palcami.

— Hanuś! Cosi mie złapało za kulasy i trzymało, kieby złe, co nie zdole byłech sie ruchać. Oślepłech, kiebych na słońce pozierał — takaś urodna, Hanuś.

Parsknęła mu na to w twarz uszczypliwym żartem: — Musze se pewnie inszego chłopa wyzdajać, bo przy tobie wnet bych skrepła — uciekła mu, śmiejąc się perliście. Pogonił za nią parę kroków, ale wnet się spostrzegł, że ludzie jeszcze z kościoła idą i na złe gotowi go wziąć ozory; zawrócił i pobiegł do Jaśka Rybki, który był pierwszym muzykanten i jego serdecznym przyjacielem, chociaż biednym. Pogadali sobie wesoło i wkrótce się rozeszli. Na drodze leżała świąteczna cisza. Gdzieniegdzie mignęła jeszcze kolorowa spódnica jakiejś kobiety, która zapewne się z kumoszkami zagadała. Gorące słońce złociło seledynowo-błękitne niebiosa, które swymi brzegami opierały się o dalekie wirchy.

Po południu u Berdy zgromadzili się najprzedniejsi gazdowie, a nawet ubogi chałupnik o ich dom zawadził i dobrym słowem chorego pozdrawiał.

Berda był wyjątkowo przytomny, więc rozmawiał z sąsiadami o polach, traczu, gazdostwie oraz o dobrych minionych czasach.

Nie wspomniał nic o Jantosiu i zrobionym dla niego zapisie na to bogate dziedzictwo.

Hanusia uwijała się i znosiła gościom słodycze, zapraszając, by jedli.

Na koniec zaczęły krążyć potężne kielichy wybornej wódki.

Jedli i pili, pogadując poważnie i godnie.

Pod sam wieczór przyszedł sołtys. Był podchmielony, więc szczerząc do wszystkich swoje dwa ostatnie zęby, zawołał: Siedzicie, gazdy, kieby na stypie: smutni i zwarzeni!

— A co, bedzim tańcowali, kie chory na wyrku leży?

— A bedzieta haw tańcowali, padom wam — dyć Hanusia wesele wyprawi. Nie czas jus dziewcynie pieknej, kie ona! Gazdziną haw bedzi, co hańtelo ziemi i tracz i młynek ma — ho, ho — zawołał.

W izbie umikli, Hanusia uciekła na pole. Gazdowie patrzyli kłopotliwie na gazdę i na siebie, nie wiedząc co począć. Zdawało się, że stary Berda z tego nic nie rozumiał, albo nie słyszał, co opowiadał sołtys. Najspokojniej ułamał sobie kawałek placka i zjadł go ze smakiem, niewoląc gazdów, by jedli. Nie sprzeciwiali się. Brali poczęstunek, drobiąc słodkie ciasto. Sołtys gadał za wszystkich. Przekpiwał z tych, lub tamtych, albo chwalił na odmianę.

Nie ścierpiał tego gadania gazda Łotos, więc rzekł cierpko: — Żeście są haw urzędowa osoba, to jeszcze, wicie, nic wam do gazdów, abyście mieli na nich ozorem po próżnicy pśkować — nie pora na to.

— Ale cosi wam rzekę — zawołał z pijacką fantazją — wlazłech haw do Berdy, aby z nim, wicie, o inszej ważnej sprawie pogadać... musę z nim być sam...

Gazdowie, gdy to usłyszeli, powstali z miejsc, oglądając się za swoimi kapeluszami.

— Kie tak — rzekł najstarszy z nich — to pódzim do pola...

— Ostańcie z Bogiem — żegnali się — niech wam sie wiedzie i ozdrówcie wnet, jak bede miał kieli czas, to wlaze haw.

I ruszyli ku drzwiom. I w chwilę potem wyszli na drogę, bieląc się swymi cuchami w szarości wieczoru, niby ruchome płachty śniegu.

Na drogach tętniło jeszcze życie: Chodziły młode dziewczęta z wesołym śpiewem, trzymając się wpół, kolebały się w sobie, niby te gęsi na łące.

Tam znów płoni wałęsali się chłopacy, pokrzykując po drogach, jakby całą swą młodość wykrzyczeć chcieli. Tu znów ktoś na ławie przed domem siedzący, śpiewał smętliwie: „Góry nase, góry, lasy nase, lasy...", a piosenka tłukła się w szarym powietrzu wieczornej godziny, niby ptak zbłąkany.

Hanka uprzątnęła w domu, napasła inwentarz, a potem z trwożliwym jakimś oczekiwaniem krążyła pod oknami ojczyma, z których czerwoną długą smugą kładła się po-

NIENASYCONA

Wyszarpał ją z ramion majowi — — — — — —
Żywiołowo młody rzymianin
z pożądliwie opierającą się Sabinką
— — — — — — popędzili — — —
na smyrneńskie
niw — dywany.....

Przez dni trzydzieści
i nocy trzydzieści
— — — — — pod pobudliwy rytm hejnału
— — — miłośnych zewów
— — stałych mieszkańców
— puszczy i kniej
zatracali się
we wzajemnym
ekstatycznym
spazmie
pogańskich rozkoszy....

— — — — — — — na łąkach kwiatami rozpustnych,
— — — — — — — na leśnych — słońcem wygrzanych — polanach,
— — — — — na mchów — szmaragdowym, w borach, — puchu,
— — — pod zielonymi palankinami
— — pióropuszów
— plotkujących o nich drzew.

Nie spostrzegł: — — — —
gdy ninie, — — —
najkrótszą z krótkich
i szałem kochania pijaną, — — —
— — — — — Kupałową nocką — —
— — — — — — — u wezgłowia ich
— — rozkwitło dlań
— — paproci
— pożegnalne
kwiecie.

Nie widział: — — —
jak pracowite świętojańskie robaczki
brylantami złotych gwiazd
pośpiesznie haftowały
jemu śmiertelny
całun.....

— — — — — więc
narkotyczne
sianokosów oddechy
— — — — — ukołysały — —
wyczerpanego
na wieczny sen.....

Ziemia
wyrwała się z wątlejących jego ramion,
— — — — u skraja by dąbrowy, — —
łakomym wysłuchiwać uchem
przyciszonych kroków
skradającego się po nią
namiestnika
Lipca.

Przybiegł — — — — — —
taki męski i stanowczy.
Gorący taki.

Pożoga słońca
osmaliła na miedziane
obojgom lica i ciało.

Radośnie, — — —
po słowiańskich barciach,
przelewali pszczelich miodów
płynne złoto.

Polami — — — — —
rozśpiewali się,
żniwnych sierpów i kos
podźwiękliwym duetem.

— — — — — a, u mondeli ziarnem ciężkich snopów,
— — — — rozkoszne zmysłów dosyłem
— — — były im
— lipcowych nocy
ciepłe godziny.....

Opieszałe
— — — — — wlekli się, — rano, —
w stukocie zbożem ciężarnych
do stodół wozów, — — — —

Małżonką — — przekazał ją
— — ostatniemu
— — z letnich braci.

A ona bojaźliwie tuliła się
do boku Sierpnia.

Lękliwymi dłońmi teraz zatrzymać chciała
i zeń pośpiesznie
wymykającego się życia
oddechy, — — —

— — — — A i słonko coraz rychlej
— — — — — — śpieszyło się — — — —
za te góry dalekie,
kędy wichry rozwieszały
apokaliptyczne kulisy
tajemniczych chmur.....

i zorze,
na nieboskłonach,
— — — — — czemuś dłużej
— — — — dumały
— — mistycznymi
— kolorami wieczorów.

W księżycowe noce: — — — —
— — — — — padały złote — —
— — — — rzęsistych gwiazd — —
— — sierpniowe ulewy, — —
— te zbłąkanych ludzkich dusz
neonowe smugi.....

— — — — Zmęczeniem słaby.....
— — — — — — — przystawał — — —
— — — — po rżyskach łanów.....

Rozrzewniał się
w tęsknym poszumie
owocami kraśnych drzew....

Żegnał się z nią — — —
w hałaśliwych sejmach
i taborach — — — — —
— — — ptasich cyganów....

i z zamierającym szeptem
ostatniego pożegnania
żórawimi skrzydłami
zamorskich włóczęgów
— — — — — — odleciał — — —
w szkarłatem cichy zachód
gasnącego lata.

Władysław Sławid

światła lampy naftowej. Zajrzała do środka. Sołtys siedział pochylony nad chorym i trzymając jakiś papier, opowiadał coś staremu.

Nic nie mogła zrozumieć, bo jakże, okna zamknięte. Widziała tylko jak chory chwilami podrywał się z łoża i patrzał na sołtysa błędnymi oczami, w których paliło się jakieś przerażenie, czynił taki ruch ręką, jakby chciał sołtysowi coś odebrać. Lecz po chwili opadał ciężko na pościel i widać było, że się męczył tym, bo pierś podnosiła się w ciężkim oddechu.

Hankę opanowała żądza ciekawości, chciała bowiem się dowiedzieć o czym oboje mówią. Serce kołatało się jej przeraźliwym dygotem. Przeczuwała w głębi swego serca, że tam rozgrywa się partia o jej przyszłość.

Nagle drgnęła. Ktoś szedł ode drogi, przystając co chwilę. Oderwała się więc od okna i cicho, jak cień, pomknęła ku drodze, wzdłuż której biegł długi żerdziowy płot. Przechyliła się przez sztachety i sokolim swym wzrokiem penetrowała drogę. Nie było nikogo. — Zdało mi się — myślała — ktoś haw spieszył do chałupy. Wróciła znów pod okna, dygocąc w dziwnej febrze, wywołanej oczekiwaniem. Po chwili dał się słyszeć ponowny szelest kroków, jakby ktoś naprawdę się skradał.

Hanka, zaniepokojona tym, obeszła całą chałupę i, gdy już wracać miała do izby, natknęła się na dziada, który pijanym krokiem wlókł się od strony furtki, mamrocząc przekleństwa.

— Ka to, dziadku, tak się wysmarowaliście — hę? — zawołała tuż nad uchem dziada.

Pijane dziadzisko, któremu od wódy ozor skołczał, zamamrotało coś niewyraźnie i patrząc swym jednym okiem w smugę światła, potoczyło się w stronę chałupy. Usiadł ciężko na ławie i, kiwając swą brzydką głową na boki, wymamrotał: — Spili mnie hań, spili... padają: „pij, dziadu, pij, bo więcy na zebry nie pódzies, bedzies haw u Wicka krowy pasł.

Ciągła pijacka czkawka przerywała mu jego wywody.

— Wicie — bełkotał dalej — Wicek z tęsknośći za wami robaka zalewa z Jaśkiem... tym... no... Rybą, cy... Rybką?...

Hanka nie zważała na tę plątaninę mowy, a dziad, rozmarzony ciepłem, mruczał coś jeszcze sennie, a po chwili zaczął po ścianie żydy wozić.

Hanusia wyszła na sień z nawałem swych myśli, które krążyły w jej głowie, niby roje natrętnych owadów.

Nagle otworzyły się drzwi od izby starego. Chlusnęła powódź światła na ciemny korytarz, aż Hanka, oślepła na chwilę, przymknęła swe oczy. Ze drzwi wychyliła się głowa sołtysa. Patrzył w ciemność, słuchał, a potem zawołał: — Hanuś! Hanuś!...

Zadygotała w radosnym, lecz także w niepewnym oczekiwaniu. Za chwilę wchodziła już pokornie do izby starego, który leżał na swym łożu boleści z przymkniętymi oczami, jakby spał. Hanka podniosła swój pytający wzrok na sołtysa, nie wiedząc co ze sobą począć. Po chwili dopiero stary Berda otworzył oczy, którymi długo i uparcie wpatrywał się w Hankę, jakby tym wzrokiem chciał zgłębić jej myśli przytajone.

— Hanuś — rzekł nareszcie — pódź haw blizy.

Podeszła do łóżka, oparłszy drżące ręce na jego brzegu.

— Hanuś! — powtórzył stary — stanij haw jesce blizy.

Podeszła blisko do jego głowy i czekała co dalej nastąpi.

— Gadałech haw ze sołtysem... wsićko mi padoł... wsićko!... Przepowiedział mi, że bedzie lepi, kie ty sie za chłopa wydas, kieli zawdy przemyśny, mocki i harny jet gazda. Wsyćko w garści bedzie trzymał i nikany nie wypuści...

Hanka zadygotała już z radości i chciała już starego obłapiać, ale on uczynił przeczący ruch ręką i kazał jej milczeć.

— Wybrałech ci — ciągnął dalej po chwili — godnego gazdę, bezdzietnego gdowca, Jędrka Chochowskiego.

Hanka, słysząc to, zakołysała się w całym swym jestestwie. Straszny, drzemiący w niej od wielu miesięcy bunt zbudził się w sercu z niepohamowaną siłą. Wyprostowała się nagle i wcale niepodobna do tej przed chwilą pokornej Hanusi, zawołała:

— Ociec! Nigdy! Nigdy!... Wolę iść hań do światu na służbę, lecz la tych morgów nie dam sie przedać gdowcowi... ja miłuje Wicka i telo!...

Buchnęła wielkim i żałosnym płaczem aż sołtys, który przez cały czas rozmowy stał obok, zaczął ją uciszać i pocieszać. Lecz Hanka już go nie słuchała. Rzuciła mu w twarz, że jest huncfot stary, że wtedy jej bajtki płótl, obiecując wstawiennictwo u ojczyma. Sołtys na to nic nie odrzekł, bo i cóż miał mówić, kiedy mu prawdę rzekła. Stary zaś, nie zważając na Hanusine protesty, rzekł twardo:

— Jutro haw przydą gazdy z Witowa i bedą starostować... pamiętaj cobyś haw była!...

— Wicie, psem wyszczuję, a nie, to prasne wsićko i póde w teli świat — zawołała z goryczą i wybiegła z izby, trzaskając drzwiami.

— I zrobi to — rzekł smutnie sołtys — dyć-ech ji krzestny... skrepnie prędzy, a nie zawiedzies ji do zeńby.

Berda nic nie odrzekł. Widać było, że się tym bardzo zmartwił, bo nagle zrobiło mu się słabo. Pot oblał mu czoło, woskowa żółtość rozpełzła po twarzy, nadając jej trupi wyraz. Po pewnym czasie szepnął: — Podrzyjcie haw mój zapis, co żech na Hanusie pisał... niech skrepiruje, kie chce... błogosławieństwa cale nie dostanie.

W drugie święto pod wieczór rozpętała się wichura z pluchą. Grube i szare, jak stado brudnych baranów, leciały chmurzyska, prując o wierchy gór opite wodą kałduny, oczekające zimną i białą posoką deszczu. Ludzie, poukrywani w bezpiecznych chałupach, spoglądali tęsknymi oczami na tonący we mgle oddali świat. Bełkocząca woda pędziła małymi siklawami po drogach i pagórkach; przegięte w pół drzewa żałosnym swym szumem grały na wiolonczelach swych gałęzi jakieś ponure symfonie. W chałupie u Wicka odbywały się zrękowiny jego z Hanusią. Nie było wiele gości. Znaczniejsi bowiem gazdowie niechętnie na to patrzyli, bo Hanusia uczyniła wbrew woli ojczyma, który przecież, będąc jej opiekunem zarazem, miał pełne prawo wskazać jej wybitniejszego człowieka na męża.

Bawiła się więc tylko młodzież. Zabawa ta jednak szła jakoś ospale i ten i ów wymykał się po cichu do domu i nie wracał. Narzeczeni siedzieli obok siebie, zapatrzeni w swoje szczęście, poza którym nie widzieli swoimi rozmiłowanymi oczami czającej się zezowatej przyszłości.

Podobni byli do dwojga zbłąkanych dzieci, które biegną na przełaj za uciekającym motylem, nie spodziewając się, że tam... gdzieś dalej jest przepastne torfowisko.

Ciąg dalszy nastąpi

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

Przypuśćmy że...

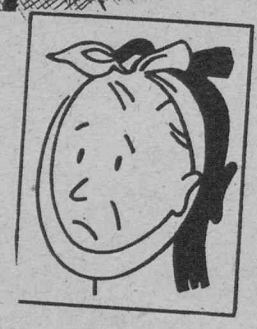

zaciął się Pan podczas golenia. W jaki sposób zamierza Pan opatrzyć tę ranę? Czy może tak? A może lepiej małym nie podpadającym kawałkiem Hansaplastu elastycznego?

Praktyczniej będzie wziąć Hansaplast. Opatrunek z Hansaplastu jest w mgnieniu oka nałożony i nie krępuje swobody ruchów. Tamuje krwawienie, odkaża i przyspiesza gojenie.

Hansaplast-elastyczny

„ODWIEDZINY"
OBRAZ ZOFII STRYJENSKIEJ

„Gość w dom—"

a gospodarz i gospodyni radują się, że sąsiedzi o nich pamiętają. Od prastarych czasów gościnność należy do przednich obowiązków — a obowiązek to nader miły, przecież sprawia tyle uciechy, kiedy możemy gościa przyjąć w naszych progach, pogwarzyć z nim i poczęstować go filiżanką kawy.

A jeżeli na stole zjawi się kawa Enrilo, tym przyjemniejsza będzie gościna. Bo wszystkie dawne zalety ma i dziś kawa

Enrilo

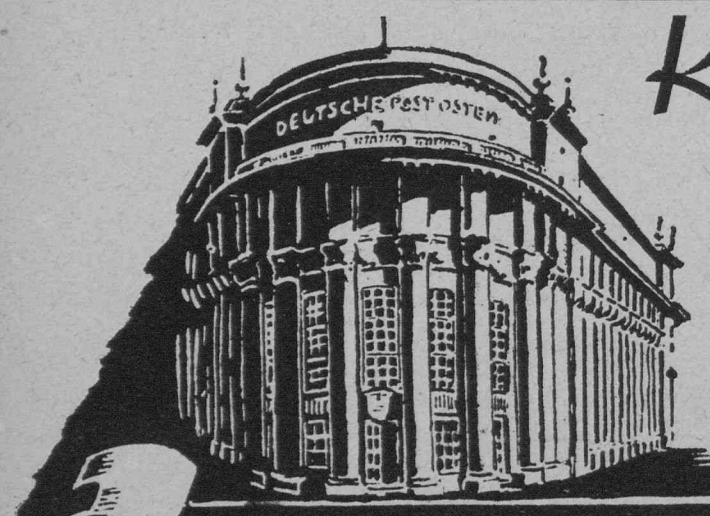

Korzystaj

Z OBROTU CZEKOWEGO

i OSZCZĘDNOŚCIOWEGO

NIEMIECKIEJ POCZTY WSCHODU

DRAMATY W GŁĘBINACH OCEANÓW

Od ławy szkolnej interesuje każdego w najwyższym stopniu życie w najdalszej, zamierzchłej przeszłości. I wyobraźnia nasuwa nam takie sceny jak walka w okresie mezozoicznym między straszliwym rybąjaszczurem, ichtiozaurem i gigantycznym o żyrafiej szyi plezjozaurem, z polatującym nad nimi dziwem skrzydlatym, pterodaktylem, płazem o skrzydłach nietoperzowych od 20 do 30 stóp w rozwinięciu. Walka odbywała się prawdopodobnie na bagnach, wśród drzew wprost ponad ludzkie pojęcie pięknych i wysokich, podobnych do drzew paprociowych, które w zmodyfikowanej postaci istnieją jeszcze w strefach tak dalekich od siebie jak Nowa Zelandia i Jamaika. Przerażające te stwory znikły w kataklizmach, przez które przechodziła powierzchnia ziemi.

W okresie mezozoicznym jednak płazy, ssaki i ryby — potwory olbrzymie, jakich nie było przedtem ani potem, gromadnie zamieszkiwały ziemię. Wśród szkieletów dobywanych wciąż jeszcze z wnętrza ziemi, znajdujemy np. szkielety diplodocusa. Normalne osobniki tego gatunku sięgały 80 stóp długości. Sądząc po wydobytych kościach i innych ich szczątkach, przypisują naturaliści dinozaurom od 150 do 180 stóp długości. Musiały one pochłaniać całe tony roślinności dziennie.

A w morzach roiło się od jeszcze bardziej zdumiewających kolosów; w głębinach gnieździły się potwory, przy których najohydniejsze zmory bledną. Były tam okrutne jaszczury morskie pół-ryby, a pół jaszczurki, z oczami 14 cali w średnicy i krokodylimi szczękami, uzbrojonymi w przeszło 200 ogromnych zębów; były ogromne skorupiaki od 6 do 8 stóp długości, ryby pancerne, każda ważąca najmniej tonę, ryby kostołuskie, kolosalne rekiny i raje. Dzisiaj nie ma już tych potworów w oceanach.

Wielcy podróżnicy i sportmeni utrzymują jednak, że w oceanach znajdują się i dzisiaj ogromne stworzenia. Wyławiali oni z głębin ogromne rekiny i piły, których liczba jednak ciągle się zmniejsza. Powodem są straszliwe walki, jakie te potwory prowadzą między sobą.

— Pewnego wczesnego poranka — opowiada wielki podróżnik — wypłynąłem z pomocnikiem na morze, by podnieść sieci i zatrzymaliśmy się oniemieli z podziwu. Niebo na wschodzie stawało się świetliste jak topiony szmaragd. Powoli różane smugi wlewały się w niebiosa i nagle dzień nadszedł, a nas spowiła jego gloria. Jak okiem sięgnąć — tajemnicza, nieposzlakowana, błękitna toń Karaibskiego morza przechodziła w całą gamę tonów zieleni. Na czymkolwiek spoczęło oko, aż po sam horyzont, zdawało się tak piękne, tak pełne spokoju i pogody.

O jakże zawodny ten spokój! Groza, ohyda czaiła się w pięknej pogodzie. Bo oto cóż nastąpiło po tym boskim preludium harmonii?

Nastąpiło objawienie okrucieństwa drzemiącego w sercu przyrody. Zauważyliśmy nagle, że powierzchnia morza marszczy się od **ławicy igrających brzan.** Były to ryby od 1 do 2 funtów wielkości. W jednej chwili usłyszeliśmy gwałtowny plusk, piana wybuchała tu i ówdzie, plamiąc powierzchnię. Woda pryskała, dało się w niej słyszeć klaskanie i bulgotanie. To banda wielkich **dzeków** wdarła się między bezbronne brzany, rozpruwając je z impetem i rozrywając na wszystkie strony. Co za rzeź straszliwa! A był to dopiero początek tych jatek. Niezliczone **kormorany i pelikany** nurkując co chwila, wzięły udział w trzebieniu słabszych istot. Powierzchnia wód wrzała od małych ryb, skaczących i ciskających się na wszystkie strony, aby ujść zagłady ...

Porwałem się na równe nogi i skierowałem szkła ku pełnemu morzu. Ha, tego się właśnie spodziewałem! Oto pruły już wodę ogromne, grzbietowe pletwy **rekina,** tygrysa głębin, pana i władcy wszystkich morskich stworzeń. Potwór żarłoczny zbliżał się z szybkością niesłychaną. Dzięki, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, żerowały w dalszym ciągu. Wtem powierzchnia wzdęła się, prysła i 80-funtowy dżek rzucił się w skoku. Daremnie. Rekin pochwycił go już w ogromne, rozwarte jak wrota, stalowe szczęki. W następnej chwili wielkie i małe ryby uciekały na oślep we wszystkich kierunkach. Kormorany i pelikany wzbiły się wysoko ... i cisza. Tylko potężne pletwy pruły wodę, to w tę, to w tamtą stronę. Rzeź trwała ...

O 300 jardów w kierunku na pełne morze była rozciągnięta moja sieć na **żółwie.** Niespokojnie wodziłem w dalszym ciągu oczami za potworem, bo smutne doświadczenie nauczyło mnie, co w takich razach najczęściej się zdarza. Jeżeli tylko rekin wplącze się w sieć moją, porwie ją na strzępy. Nagle, gdy tak śledziłem z napięciem ruchy potwora, wielka tłusta plama ukazała się na powierzchni wody między nim, a miejscem, gdzie się sieć ciągnęła.

Cały zamieniłem się we wzrok. Sekundy upływały wolno — ukazała się następnie podłużna, brunatna głowa, dało się słyszeć sykliwe bulgotanie i w powietrze wzbił się bicz rozpylonej wody. Głowa zaraz znikła, natomiast olbrzymie brunatne cielsko wychynęło się z topieli.

— Na Jowisza, **krowa morska!** — krzyknąłem w stronę służącego. Prędko moją strzelbę! Chłopak skoczył jak oparzony i w mgnieniu oka podał mi mój 303-kalibrowy karabinek i z pół tuzina naboi eksplodujących. Po raz drugi głowa się ukazała, a tymczasem pletwa grzbietowa rekina zmieniła kurs i leniwie sunęła ku krowie. Sunęła z coraz większą chyżością. Jeszcze raz ssak się wynurzył, wydmuchując bicz wody i w tejże chwili spostrzegł swego odwiecznego wroga. Natychmiast zadrgał, jak tknięty elektrycznym prądem ...

Woda zawrzała i zawirowała, gdy niesamowita bestia rzuciła się z miejsca pędem, uchodząc przed wrogiem. Po tłustym śladzie i pęcherzykach na powierzchni można było śledzić ruchy przerażonej krowy morskiej. Kolosalny rekin w pościgu za nią pruł wodę na kształt torpedy. I na nieszczęście oba potwory pędziły w stronę mej sieci. Nastąpiło to, czego od razu można się było spodziewać. W sieć wpadła krowa, a moment później rekin uderzył w nią taranem rozpędzonego cielska ...

Boje po obu końcach, do których sieć była przymocowana, zostały ściągnięte ku środkowi, co dowodziło, że utrzymujące je kamienie, z których każdy ważył przeszło cetnar, odpowiednio zmieniły swe położenie na dnie morza. Mieliśmy widowisko co się zowie. Morze dokoła potworów wrzało, wzdymało się i kolebało na znacznej nawet odległości od pola walki na śmierć i życie. Na powierzchni ukazywały się coraz to nowe plamy krwawej piany ...

Miałem wrażenie, że olbrzymie cielska zapaśników, zczepione w śmiertelnych zapasach, lada chwila wynurzą się z wody. Dochodziło nas groźne bulgotanie, leciało coraz więcej rozprysków i mżyła dokoła piana. Nareszcie lina utrzymująca pływaki korkowe znalazła się w paszczy rekina i sieć pękła. Korki już pływały po wodzie luźno. Obejrzałem się. Za mną stał mój wierny i oddany towarzysz broni. Na jego twarzy malowała się wściekłość. Miotały nami w owej chwili uczucia jednakowe. Sieć była stracona ...

Innym razem byliśmy obydwaj zajęci nad brzegiem morza wbijaniem na 14-funtowe haki po 100 funtów mięsa na każdy z nich. Mieliśmy za zadanie wywieźć je właśnie na czółnie i zarzucić, gdy moją uwagę przykuła grzbietowa pletwa olbrzymiego, mającego około 15 stóp rekina, która wartko pruła wodę. Jednocześnie prawie w pewnym oddaleniu wielki czarny kształt wynurzał się ku powierzchni. Potwory w pierwszej chwili nie zdawały się spostrzegać nawzajem. Rekin przepływał powoli i jakby leniwie o jakie 20 jardów od nieruchomej, ciemnej masy i płynął dalej w pierwotnym kierunku. Nagle zboczył pod kątem prostym ku wielkiej pile — teraz widziałem wyraźnie, że była to **piła** — i nim ryba ta spostrzegła się i zdołała zareagować, wyrwał z jej boku kawał mięsa.

Napastnik rzucił się następnie do ucieczki. Za późno. Dopędziła go piła. Zwierz ogromny zaczął w szalonej furii tłuc wodę pletwami i ogonem, a równocześnie straszna broń tego Lewiatana głębi śmigała na wszystkie strony z piorunującą chyżością. Tuż w następnej chwili z niesamowitą siłą rozpoczęły się jakby wyuczone cięcia piły na prawo i na lewo, ruchami szarpiącymi i siekącymi jednocześnie.

Następnie przechyliwszy się cokolwiek na bok, powtórzył olbrzym te same ruchy w dół i w górę — wreszcie zbliżywszy ile się dało piłę do ogona, aż całe ogromne cielsko napięło się na kształt łuku, odprężył się nagle i zadał taranowy iście cios przed siebie ... Staliśmy dość daleko od pola walki i usłyszeliśmy dość wyraźnie odgłos uderzenia. Piła nieomal przecięła rekina. Rekin od tego ciosu musiał paść na miejscu ...

W cieśninie Taboga na morzu Panamskim byliśmy świadkami tytanicznej walki między rekinami. Był to niezawodnie czas ich rui. Zapaławszy snać żądzą do jednej samicy, rzuciły się na siebie. Nastąpiło prawdziwe pandemonium bestialstwa. Co najmniej 12 do 15 żarłoczy-samców ukazało się na powierzchni jednocześnie i skłębiły się w niszczycielskim szale.

Walczyły, jakby im życie zbrzydło. Wyrywały sobie nawzajem całe sztuki mięsa z boków i biczowały morze ogonami, aż piana i bryzgi leciały na wszystkie strony. Były to prawdziwe jatki i daleko naokół morze zaczerwieniło się krwią. Powoli jednak znikał jeden rekin za drugim. Miałem jednak wrażenie, że żaden z nich nie uciekł z życiem. Na wszystkie strony bowiem bruździły powierzchnię morza grzbietowe pletwy innych rekinów, które czyhały na ciężko rannych i wymykających się chyłkiem z pola walki. Niedobitki musiały być tak osłabione, że łatwą stanowiły zdobycz dla reszty krwiożerczych bestyj, trzymających się z dala od krwawych zapasów. Bitwa trwała co najmniej pół godziny, aż wreszcie wszystko się uspokoiło ...

J. W.

ZEMSTA

KAZIMIERZ LAUDAN

Na odgłos gwałtownie otwieranych drzwi Łęcki uniósł głowę z nad biurka i odsunął lampę, która przesłaniała mu widok.

— Pan Adam Łęcki? Recenzent teatralny? Współpracownik „Echa Stolicy"? — brzmiały pytania, rzucane szybkim chrapliwym głosem, w którym słychać było akcenty zniecierpliwienia i gniewu.

Łęcki podniósł się z fotelu i zdziwionym spojrzeniem objął postać nieoczekiwanego gościa. Przed nim stał mężczyzna w podeszłym już wieku. Jego szczupła, niemal młodzieńcza postać, dziwnie kontrastowała z siwizną, która srebrzyła bujną, rozwichrzoną czuprynę i długą, opadającą prawie na pierś brodę. Głęboko osadzone oczy płonęły gorączkowym blaskiem. Ręce drżały niespokojnie.

— Jestem Łęcki. Czemu mam przypisać wizytę o tak późnej porze?

Nieznajomy rzucił się gwałtownie naprzód, chwycił rękami za krawędź biurka i pochylił się ku Łęckiemu, jakby go chciał wzrokiem przebić.

— Nareszcie! — zawołał, wykrzywiając twarz grymasem radości, pomieszanej z okrucieństwem. — Nareszcie pana odnalazłem! Sprawiedliwości stanie się zadość!

— Nie rozumiem, o co właściwie . . . — zaczął odpowiedź Łęcki, ale nieznajomy nie dał mu przyjść do słowa.

— Znalazłem cię, morderco! Zapłacisz mi za swą zbrodnię! Nie miałeś ani odrobiny litości dla tak młodego i szlachetnego człowieka! O mój biedny, biedny Henryku! . . .

Głos mu się załamał i przeszedł w łkanie. Nieznajomy ukrył twarz w dłoniach, zachwiał się i ciężko opadł na krzesło, podniesione mu przez Łęckiego, który tymczasem starał się opanować sytuację.

— Niech mi pan wierzy — powiedział pewnym perswazji głosem — to musi być jakaś pomyłka. Pan mnie widocznie bierze za kogo innego.

— Jesteś mordercą! — wybuchnął znowu nieznajomy, zrywając się z krzesła. — Jesteś mordercą i jeszcze nie oschła krew ofiary na twoich rękach. Nie patrz na mnie, jak na szaleńca.

— Ależ . . . — próbował przerwać Łęcki.

— Ani słowa więcej! — zawołał groźnie tajemniczy gość. — Słuchaj — dodał po chwili — wszak przypominasz sobie twoje recenzje o Henryku Wawrzyniaku? Pamiętasz, jak się pastwiłeś nad nim po każdej premierze? Odmawiać mu talentu, wyszydzać jego dykcję, gesty. Tego dla ciebie było za mało! . . . Nie wystarczyło ci dowodzenie w szkalujących artykułach, że całe jego artystyczne powołanie było jedną fatalną pomyłką, chciałeś go zgnębić, zniszczyć, uczynić pośmiewiskiem wszystkich . . . I udało ci się to w zupełności. Zatrułeś jego piękną duszę goryczą, wszczepiłeś ból, który szarpie, ból, który rani, zabija . . .

— Pisałem, co mi nakazywało sumienie krytyka — odpowiedział z godnością Łęcki. — Przyznaję, że byłem może niekiedy surowy . . . ale przecież zawsze się może jeszcze nadarzyć okazja i będę mógł moją opinię naprawić . . .

— Naprawić? Teraz? Spóźniona skrucha. Po wczorajszym przedstawieniu Henryk Wawrzyniak, doprowadzony do rozpaczy pańską ostatnią recenzją, zastrzelił się w garderobie teatralnej. Znaleziono go nad ranem bez życia w kałuży krwi. Ciesz się teraz, triumfuj!

— Panie — spokojnie odezwał się Łęcki — ktokolwiek jesteś, wiedz, że . . .

— Ciesz się zbrodniarzu — wołał dalej przybyły — ale krótki będzie twój triumf! Jestem ojcem Henryka. Przychodzę tu, aby spełnić ślub, złożony przeze mnie u zwłok syna: tą samą bronią, którą Henryk pozbawił się życia, zabiję jego mordercę!

W ręku gościa błysnął rewolwer.

— Daję panu pięć minut na uporządkowanie rachunków ze światem. Jest to akurat dosyć czasu, aby spisać ostatnią wolę i pożegnać się z rodziną. No, bierz pan pióro, ja patrzę na zegarek!

— Panie — zawołał Łęcki — rozumiem pańskie położenie, wiem, że spotkała cię najcięższa strata, jaką tylko ponieść można, zgodzę się, że zawiniłem . . . Ale, na litość boską, co panu przyjdzie z mojej śmierci? Tylko żywy mogę choć w części naprawić krzywdę, którą wyrządziłem. Przyrzekam, że całe moje życie poświęcę, aby zrehabilitować pańskiego syna. Będę pisał, że był niezwykle utalentowanym artystą, że cały świat poniósł niepowetowaną stratę z powodu jego przedwczesnej i nieodżałowanej śmierci. Ale do tego potrzeba, abym został przy życiu.

— Jedna minuta minęła — obojętnie liczył przybyły.

— Jutro zamieszczę obszerny artykuł o niezwykłych zasługach Henryka Wawrzyniaka na polu sztuki. Napiszę, że padł ofiarą zawiści ludzkiej, nikczemnej zazdrości . . . Wymierzę sobie policzek w ten sposób!

— Pozostały trzy i pół minuty — liczył dalej gość. — Radzę panu się śpieszyć.

Łęcki zrobił beznadziejny ruch rękami, siadł z rezygnacją w fotelu i wtuliwszy głowę w ramiona, począł szybko pisać. Po skreśleniu kilku zdań zapalił papierosa i znowu pisał, spoglądając od czasu do czasu, spoza kłębów dymu na gościa, odwróconego bokiem i wpatrzonego w zegarek. Wreszcie położył podpis, wsunął kartkę do koperty, zapieczętował i zamyślił się nad adresem.

Wtedy zaszła rzecz nieoczekiwana. Przybyły schował naprzód zegarek, potem rewolwer do kieszeni i począł biegać po pokoju, zanosząc się niepohamowanym, hałaśliwym śmiechem.

— Ha, ha, ha, ha! A to mi się udało! Ha, ha, ha! Pan pisał, że Henryk Wawrzyniak nie ma ani odrobiny talentu, że jego powołanie jest pomyłką? A ja, ha, ha, ha, a tu ja, przez pół godziny, udaję przed panem mojego ojca i pan nie wie o tym, że ma przed sobą Henryka, nie zaś Roberta Wawrzyniaka.

— Pan Henryk Wawrzyniak? Więc pan żyje? Jakże się cieszę — zawołał wesoło Łęcki. Rzeczywiście nigdy bym nie pomyślał, że padnę ofiarą tak zręcznie zainscenizowanego żartu!

— Nareszcie miałem możność przekonać pana o moim talencie. Sądzę że odtąd „Echo Stolicy" za pośrednictwem pańskim będzie o mnie pisać bez dawnych uprzedzeń, z należnym mi uznaniem.

— Oh, panie Henryku — zawołał skwapliwie Łęcki — mogę panu złożyć moje najszczersze zapewnienia, że miarą pańskiego talentu będzie zawsze dla mnie ta scena i ta rola, którą tutaj przede mną zagrałeś.

— Ja nigdy nie przestawałem wierzyć — zawołał Wawrzyniak, wyciągając swoją dłoń do uścisku, że pan wreszcie się na mnie pozna. No — dodał po chwili — ale teraz już muszę odejść. Myślę, że nie będzie pan żywił do mnie urazy za wizytę o tak późnej porze i moje, bądź co bądź, dziwne zachowanie.

— Wizyta pana pozostawi we mnie bardzo miłe wspomnienie — odrzekł z uśmiechem Łęcki. — Gotów jestem nawet dać panu dowód, że nie mam do niego żalu za te chwile, które miały być w moim życiu ostatnimi. Oto proszę przyjąć na pamiątkę mój list, pisany pod grozą rewolweru.

Wawrzyniak z niedowierzaniem przyjął wręczoną mu kopertę.

— Dziękuję panu za dowód zaufania. Mógłbym wprawdzie, posiadając tak cenny dokument, rozgłosić całą historię i tym samym zaszkodzić panu, ale daleki jestem od tego rodzaju zemsty. Niechaj cała ta sprawa pozostanie między nami. Żegnam pana.

Wyszedł, odprowadzony przez gospodarza do drzwi. Usłyszał za sobą szczęk opuszczanego zatrzasku i zgrzyt łańcucha. To go wprowadziło w dobry humor. Zbiegał uśmiechnięty po schodach, głaszcząc palcami kopertę z listem, pisanym w przedśmiertnej trwodze przez swego prześladowcę. Przed bramą podbiegli ku niemu dwaj oczekujący go koledzy-aktorzy.

— No, jak ci się udało? Bardzo się przestraszył? — pytali naprzemian.

— Czy się przestraszył! Mówię wam, że nigdy jeszcze nie widziałem człowieka, który by tak stchórzył. Ni mniej, ni więcej tylko napisał testament, który właśnie mam przy sobie.

— Pokaż — zawołał jeden z kolegów. Zanim Wawrzyniak się spostrzegł list został rozpieczętowany i zaczęli czytać w świetle latarni ulicznej. Wawrzyniak patrzył im przez ramię, ledwie jednak przeczytał pierwszych kilka wyrazów, zaklął ordynarnie, wyrwał list z rąk towarzyszy i bez pożegnania, szybkimi krokami, oddalił się do domu. Dopiero u siebie doczytał do końca kartkę, której treść brzmiała następująco:

„Drogi Panie Henryku!

Może Pan małe dzieci straszyć tego rodzaju maskaradami. Żadne przebranie nie zatai tego pańskiego „r", które wymawiasz, jakbyś miał kluski w ustach; zawsze cię wyda to twoje „nareście" i „mniałem", od których można mdłości dostać. Zwykły bileter zagrałby inteligentniej od ciebie rolę starca; nie skakałby po pokoju, jak emerytowana baletnica. Zawsze to mówiłem i teraz powtarzam, że nie ma Pan za grosz talentu i że powinieneś się zabrać do innej, właściwszej dla siebie pracy. Jeśli zaś, mimo wszystko, chcesz koniecznie budzić litość nad sobą podobnymi występami, to w takich okolicznościach staranniej dobieraj kolor wąsów do brody i nie bierz peruki o cały numer za dużej. Przyjmij tę radę ode mnie, dobrze panu życzącego, nawet teraz, w momencie gdy mnie masz za minutę zastrzelić ze straszaka, wypożyczonego z rekwizytorni teatralnej.

Oddany Panu — Adam Łęcki"

ZE SCEN WARSZAWY

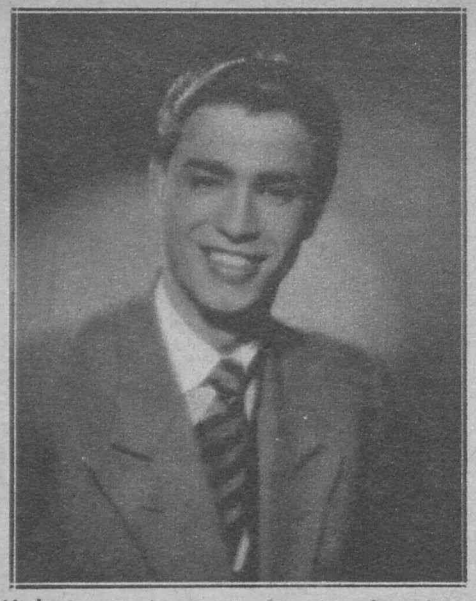

Utalentowany i sympatyczny piosenkarz Jerzy Komorowski.

Fot. Zajączkowski

MŁODE TALENTY

W sferach artystycznych Warszawy powszechne zainteresowanie wzbudził młody baryton, Jerzy Komorowski. Jest to piosenkarz, któremu już dziś wróżyć można piękną karierę śpiewaczą, o ile oczywiście nie spocznie na pierwszych laurach, lecz pracować będzie nadal nad sobą. Komorowski należy do rzędu tych wodewilistów, którzy zamiast maniery piosenkarskiej stwarzają indywidualny styl i odznaczają się swobodą i naturalnością ruchów na scenie.

Podczas przerwy w jednej z ostatnich rewii w teatrzyku „Nowy Miraż", udajemy się za kulisy w celu przeprowadzenia rozmowy z p. Jurkiem. W garderobie Komorowskiego nie zastajemy. Jak nas informują jego koledzy, Komorowski ma do następnego numeru kilkanaście minut, wyszedł więc „na ogródek" (trochę groszku, pietruszki i cebuli), aby odetchnąć po „solówce".

Wizytą naszą Komorowski jest nieco zażenowany.

— Doprawdy, nie wiem czym sobie zasłużyłem na takie wyróżnienie jakim jest wywiad.

— Miły głos, własny styl i kulturalne wykonanie piosenek zwróciły na pana uwagę publiczności i prasy.

— Przyznać się muszę, że to pierwszy mój wywiad — mówi Komorowski. — Występować zacząłem w r. 1940 jako . . ., wybaczy pan, że nie powiem, jako ilo letni młodzieniec, w chórze „Marka", którego byłem współzałożycielem. W roku 1942 zainteresował się mną reżyser p. Witold Zdzitowiecki i zaangażował mnie do teatru „Maska". Potem występowałem w takich kabaretach jak: „Melodia", „Momus", „Żak" i inne, następnie jeździłem po prowincji z zespołem K. Ostrowskiego. Ostatnio otrzymałem propozycję od dyrekcji jednego z większych teatrów w Warszawie, ale nie wiem jeszcze czy ją przyjmę, bo przyznać się muszę, że kocham praską publiczność, która tak miło mnie zawsze przyjmuje.

Rozmowę naszą przerywa inspicjent dając znać, że czas sympatycznemu p. Jurkowi wyjść na scenę do finału. Żegnając się życzymy temu prawdziwemu talentowi powodzenia w pracy do jaknajlepszych wyników.

*

Jeden z największych i najwytworniejszych kabaretów Warszawy „Melodia" urządza w każdą niedzielę, przy wypełnionej po brzegi sali, zawody bokserskie, walki zapaśnicze i wolno ameryk. Dotychczas walczyli tacy zawodnicy jak: Kolczyński, Seweryniak, Doroba, Mizerski, Karolak, Garkowienko, Szymkowski, Elsner-Zawadzki, Brych i inni. Idąc śladami „Melodii" nowootwarty teatr „Jar" urządza podobne imprezy.

*

W kawiarni SiM wystąpił ostatnio ociemniały, obdarzony pięknym głosem, tenor, p. Lubicz-Kubaszewski. Pieśni z jego repertuaru (Lehar, de Curtis, Żeleński, Nowowiejski i Noskowski) odznaczają się kulturalnym wykonaniem i dużym uczuciem jakie artysta wkłada w wykonywane utwory. Ten upośledzony przez los, ze względu na swoje kalectwo śpiewak zasługuje na zainteresowanie się nim sfer artystycznych.

Zygmunt Bakuła

Obok:

Świetny tancerz, Tadeusz Woliński, występuje w największym warszawskim teatrze rozmaitości „Jar".

Fot. Braun

*

* *

Na prawo:

S. Wacker-Bystrzyński, dyrektor Agentury Artystycznej w Warszawie.

Fot. L. Sykulski „Star"

Dr. M. BIERNACKA choroby włosów, skóry kosmetyka lekarska. Warszawa Szopena 8, g. 1—6

Dr. KRAJEWSKI wener. skór. dr. moczowe. Warszawa Chmielna 56 tel. 267-52 godz. 9—1 i 4—6

Dr. Prochacki Wener. skórne, Warszawa Krak. Przedm. 40 godz. 4—7

Akuszerka M. WÓJCIK Warszawa Złota 8 m 6 tel. 64-824

Dr. MED. LEOPOLD GUTOWSKI Skórne i weneryczne Warszawa, Żurawia 35 godz. 2—5

Dr. K. WARCHOŁ chor. kob. akuszerii Warszawa Chmielna 33 m 4 tel. 585-25 g. 10—12 i 2—4

Dr. P. ZALESKI Weneryczne, skórne WARSZAWA, Alberta 3 (przy pl. Teatralnym) Tel. 211-74

Ogłoszenia w „J. K. P." zapewniają powodzenie — czytają go bowiem setki tysięcy

Zapisy do klas pierwszych i drugich dwuletniej Szkoły Handlowej — przyjmuje Dyrekcja Korespondencyjnych Kursów Nauk Handlowych Lublin, ul. Narutowicza 37, skr. poczt. 109. Nauka w drodze korespondencyjnej. Szczegółowe informacje po nadesłaniu zł 3.

Obrazy, dywany, antyki kupuje sprzedaje „Phryne" Kraków, Sławkowska 6

Dr. R. TCHÓRZNICKI weneryczne i skór. Warszawa Marszałkowska 95 m 22 telefon 74-555 godz. 12-14'30 i 18-19

Dr. med. NOWAKOWSKI Weneryczne, skórne Warszawa, Wspólna 3 m. 3.

Chirurg Dr. med. HENRYK MOŚCICKI Warszawa Koszykowa 49 9—11 i 6—8 w.

Dr. Zofia Kołsut Chor. kob. akusz. WARSZAWA, Koszykowa 19-8 tel. 961-48 godz. 5-7

Dr. St. ZIELIŃSKI weneryczne i skór. Warszawa, Marszałkowska 81a m. 6 telefon 8-19-31 godz. 9-12 i 4-7

Dr St. Wojciechowski Chor. skór. wener. Warszawa Elektoralna 53-6 Tel. 322-11 godz. 3-7

Znana wróżka „MARY" przyjmuje obecnie LWÓW Sobieskiego 10 m 6

Dr. ANIELA RATAJ Wener. skór. płc. spec. u kobiet WARSZAWA Chmielna 25 11—1 i 3—6

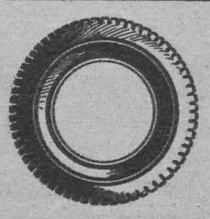

NOWOCZESNE PAROWE ZAKŁADY WULKANIZACYJNE „GWARANCJA" wł. FR. KOŚCIANEK Warszawa, ul. Książęca 19 tel. 9-31-64

Wesołość na twarzach matki i dziecka—to oznaka zadowolenia. Nie ma już ran od odleżenia dzięki codziennej pielęgnacji delikatnej skóry niemowlęcia za pomocą

Vasenol -pudru dla dzieci

Dla każdej Pani

najlepsza na obecne czasy książka kucharska znanej autorki Fr. Gensówny: „Zdrowa kuchnia" wyszła już z druku w drugim wydaniu. Kolorowa okładka, bardzo czytelny druk, 20 ilustracyj. Cena 15 zł. Do nabycia w każdej księgarni. Skład główny: Księgarnia M. Kowalski, Lwów, Legionów 19.

SŁYNNY WIZJONER WARSZAWA Hoża 41 m. 2 przyszłość, straty, kradzieże, losy oddalonych, zdrowie (diagnozy) sprawy miłosne. Porady 4—6 popoł.

3-mies. Korespondencyjne Kursa Nowoczesnej Księgowości z szczególnym uwzględnieniem księgowości przebitkowej wg. obow. jednolitego planu kont, księgowości rolniczej, administracyjnej prowadzi Publ. Kupiecka Szkoła Zawodowa w Reichshof (Rzeszów). Zgłoszenia: Sekretarjat Szkoły, ul. Hoffmannowej 3, tel. 16—43. Dla absolwentów świadectwo. Na żądanie bezpłatnie szczegółowe prospekty.

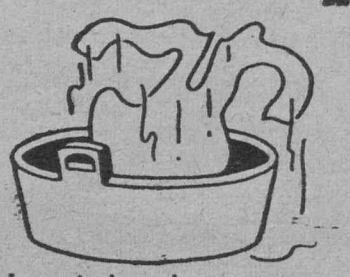

Jakie płukanie - takie pranie!

Jak należy prawidłowo płukać bieliznę poucza „ABC prania". Broszurka ta daje wiele cennych i bardzo na czasie wskazówek. Przeczytaj ją uważnie i postępuj według jej rad.

Twoja bielizna będzie Ci za to wdzięczna!

Dr. med. ŻURAKOWSKI spec. chor. skórn. i pęcherza WARSZAWA Chmielna 25 11—1 i 3—6

Dr. med. J. EHRENKREUTZ skór. i weneryczne Warszawa Nowy-Świat 37 m. 11

POŁOŻNA SKWARSKA przyjm. cały dzień WARSZAWA Nowogrodzka 29 m. 38

MEBLE KUCHENNE I POKOJOWE poleca: Magazyn KRAKÓW Starowiślna 79

PRACOWNIA ORTOPEDYCZNA wykonuje PROTEZY kończyn. APARATY ortoped. GORSETY ortoped. WKŁADKI ortoped. PASY LECZNICZE i PRZEPUKLINOWE Z. LACHOWICZ Warszawa Al. Jerozolimskie 33 Tel. 701-01

NOVASCABIN do niezawodnego i dogodnego leczenia świerzbu. Novascabin jest bezbarwnym aromatycznym płynem, nie plami, nie niszczy bielizny. Skraca znakomicie okres kuracji, czyniąc ją niekłopotliwą

NOVASCABIN

jest niezbędnym i niezastąpionym preparatem do zwalczania plagi świerzbu. Opakowanie: Flakon a 75 cm³ do jednorazowej kuracji. Cena flakonu 9 Zł. Do nabycia w aptekach i drogeriach DR. A. WANDER, A. G. KRAKAU

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Skoro tylko obetnę jeszcze tę gałąź, pójdę zjeść śniadanie!

Rys: Schröder

— Panie doktorze, mąż mój mówi przez sen, czy jest na to jakiś środek?
— O, to trudna sprawa.
— A czy nie można mu czego przepisać, żeby mówił wyraźniej? . . .

*

— Cóżeś, Krzysiu, taka zamyślona? . . .
— Ano mam kłopot, bo Jasiek się zaklina, że jak wyjdę za niego to przestanie pić, a znowu Romek się odgraża, że jak za niego nie wyjdę, to się rozpije.

*

Malarz (na wsi): — Zapytaj mała swego ojca, czy mogę wymalować waszą krowę?
Dziewczyna wraca po chwili i mówi: — Tatuś mówił, że już 5 lat jest czarną, to niech już tak zostanie.

*

Pewien pan, przeczytawszy w oknie wystawowym napis na jakiejś sukni „ostatnia moda", rzecze uradowany:
— O, co za szczęście, że się to wariactwo nareszcie skończy.

*

Nauczyciel przechodzi przez plac. Ogląda się i pyta policjanta:
— Gdzie jest ulica Królewska?
— Druga na prawo.
— Dobrze, proszę usiąść.

*

Pewien właściciel wielkiej posiadłości stracił niemal cały swój majątek na opłacenie nauk syna. Gdy się okazało, że to wszystko się nie przydało, tak sobie westchnął:
— Mój Boże, ileż to krów poszło na tego jednego woła.

*

Pewien autor twierdzi, że wielu mężów zawdzięcza żonom swe powodzenie.
— Tak, ale iluż zawdzięcza swe żony temu, że im się powiodło.

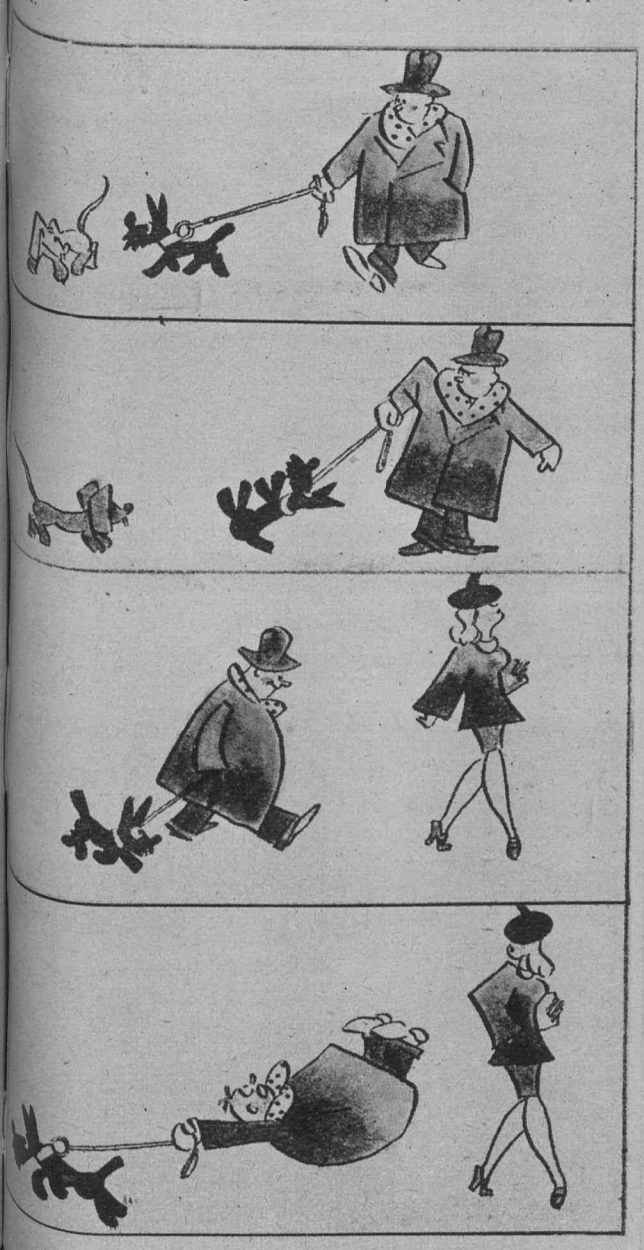

PIĘKNYM ZA NADOBNE

Rys: Fäcke

— Znowu dzisiaj jeden mężczyzna ukląkł u moich stóp . . .
Przyjaciółka (złośliwie):
— Cóż ty tak ciągle przymierzasz buty w sklepach z obuwiem?

*

Szef: — Pan jest doprawdy bardzo powolny w robocie. Czy nie ma rzeczy którą by pan robił prędko?
— Owszem, jest. Bardzo prędko się męczę, panie szefie.

*

Żona: — Nie zapominaj, że tylko mnie zawdzięczasz to, czym jesteś!
Mąż: — Tak, to prawda, ale ja ci z tego powodu nie robię żadnych wyrzutów.

*

Doktór (notując): — Silne migreny, ataki żółciowe, bóle w szyi . . . Ile pani ma lat?
Stara panna: — Dwadzieścia cztery, panie doktorze.
Doktór (notuje dalej): — Zanik pamięci . . .

*

Skarżący: — Ty, łotrze!
Oskarżony: — Ty, bydlaku!
Sędzia: — Spokój panowie, do mnie należy stwierdzenie personaliów.

— Niech mi pan powie, doktorze, jaką kobietę uważa pan za najwierniejszą: blondynkę, szatynkę, brunetkę czy rudowłosą?
— Siwowłosą!

Politiken-Dania

— Proszę pana przedstawienie już się zaczęło od kwadransa; proszę wejść zupełnie po cichu.
— Wszystko już śpi?

*

Czy twój mąż był przygotowany na śmierć?
— Pewno moja kochana, był potrójnie asekurowany.

*

— Powiedz kochany, czy gdybyśmy byli młodymi, jak wówczas, czy wówczas ożeniłbyś się ze mną?
— Nie zakłócaj lepiej spokoju jaki panuje między nami.

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY NR 27

STUDIUM NR 19

H. Rinck (I nagr. podzielona na konk. Bohemia w r. 1906)

Czarne: Ka1, Gc5, piony: a2, e6 (4).
Białe: Kd1, Se1, pion: d5 (3).
Białe zaczynają i wygrywają.

ROZWIĄZANIE PROBLEMU NR 18 (Plesnivy):

1. H×d3!

PARTIA NR 26

Białe: P. Keres — Czarne: E. Grünfeld

grana w turnieju w Poznaniu w r. b.
Hiszpańska.

1. e2—e4 e7—e5	24. Se1—d3 Wd7—d4
2. Sg1—f3 Sb8—c6	25. Kf1—f2 Wd8—a8
3. Gf1—b5 a7—a6	26. Wa1—a5 Kg8—f7
4. Gb5—a4 Sg8—f6	27. Kf2—e3 Wa8—d8
5. 0—0 Gf8—e7	28. We2—d2 Kf7—e7
6. Sb1—c3 b7—b5	29. g2—g4 Gb7—c8[4])
7. Ga4—b3 d7—d6	30. Wa5—a1 Gc8—b7
8. Sc3—d5 Sc6—a5	31. h2—h4 g7—g5?[5])
9. Sd5×e7 Hd8×e7	32. h4×g5 h6×g5
10. d2—d4 Sa5×b3	33. Wa1—h1 Wd8—f8
11. a2×b3 Gc8—b7[1])	34. c2—c3 Wd4—a4[6])
12. Gc1—g5 h7—h6	35. Wh1—h7+ Wf8—f7
13. Gg5×f6 Hc7×f6	36. Wd2—f2 Gb7—c8
14. Wf1—e1 0—0	37. Wh7×f7+ Ke7×f7
15. d4×e5 d6×e5	38. Wh2—h7+ Kf7—g6
16. Hd1—d3[2]) Wf8—e8	39. Wh7×c7 Gc8—e6
17. Hd3—c3 Hf6—e7	W tej pozycji Grünfeld
18. b3—b4 Wa8—c8	poddał się, gdyż prze-
19. Hc3—c5[3]) He7×c5	kroczył czas w sytua-
20. b4×c5 Wc8—d8	cji zresztą całkiem bez-
21. We1—e2 We8—e7	nadziejnej.
22. Sf3—e1 f7—f6	
23. f2—f3 We7—d7	

U W A G I:

1) Wchodziło w rachubę 11 . . . G—g4. Goniec na b7 jest bez przyszłości.
2) W tym i w następnym posunięciu chodzi o niedopuszczenie do c5.
3) Do postępu piona c5 nie można bezwarunkowo dopuścić. Po wymianie hetmanów zapewniają sobie białe pewien nacisk na pozycję przeciwnika.
4) Czarne musiały tu bronić się przed niebezpieczeństwem, grożącym ze strony białych na skrzydle króla. Należało grać 29 . . . h5.
5) Teraz wieże białe przedostają się na linii h z decydującym skutkiem.
6) 34 . . . W—d7? 35. W—h7 W—f7 36. W×f7 K×f7 37. S×e5+!

— Tu z pewnością wydają coś bez kartek. Muszę zaraz stanąć do ogonka.

Die Grüne Post

Matka: — Słuchaj chłopcze, jeżeli sam czytasz takie nieprzyzwoite książki, to przynajmniej uważaj, żeby ich młodsze rodzeństwo do ręki nie dostało.
Syn: — O jakiej nieprzyzwoitej książce mama mówi?
Matka: — No, popatrz, czy to wypada dla porządnego młodego człowieka, aby czytał takie rzeczy jak „Stosunek klimatu do flory?"

*

— Cóż powiedział twój ojciec, jak nas zastał, gdyśmy się całowali?
— Nic, on wierzy, że będziesz moim narzeczonym.

*

Żona: — Tyś już od dwóch dni słowa do mnie nie przemówił.
Mąż: — Nie chciałem ci przerywać.

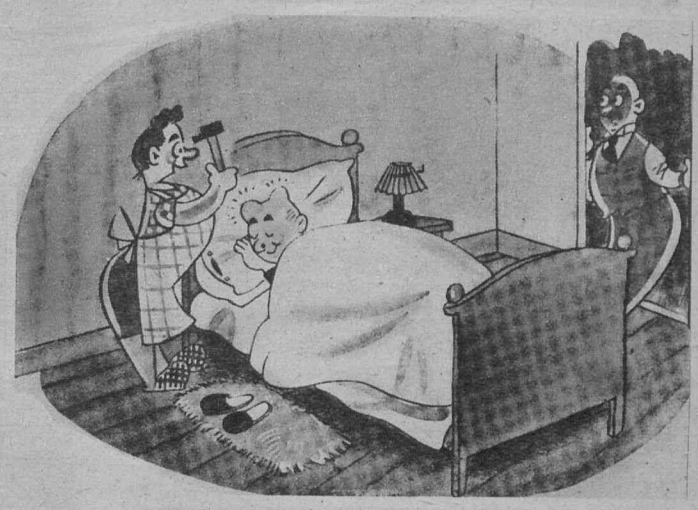

— Dziś znów ma dosyć mocny sen.

Rys: Schwarz

— Co? Panie Lubka, pan jako prezes towarzystwo ochrony zwierząt idziesz na polowanie?
—Dlaczego nie? Czy trafiłem kiedy?

*

Babcia jest zagniewana na małego Jasia i mówi do niego:
— Jesteś bardzo niegrzecznym chłopcem, przypomnij sobie, że gdy Czerwony Kapturek był taki niegrzeczny, to przyszedł wilk i zjadł go.
— Tak, ale babcię zjadł wilk też.

*

— Słuchaj, Felek, ty jesteś przecież mądry chłop! No, nie?
— No, tak . . .
— No, to przecież powinieneś zrozumieć, że jesteś skończonym idiotą!

— Jakim ty jesteś niekonsekwentnym mężczyzną! Najpierw kupujesz mi tak drogą bieliznę, a potem nie pozwalasz, by inni ją oglądali.

Travaso-Włochy

Fot. Wilziaben i Peters

GRA RĄK

Każdy taniec posiada właściwy sobie styl, wyróżniający go od innych. W klasycznym tańcu hiszpańskim bardzo ważną rolę odgrywa gest i ruchy rąk. Dla wydobycia rytmu szybkich, tryskających życiem ruchów używają tancerki kastanietów. Instrument ten stanowią dwa wydrążone i przy pomocy sznurka ze sobą połączone talerzyki drewniane, (zwane w języku hiszpańskim „Castanie"), które się trzyma w ręce i uderza jednym o drugi, przez co powstaje charakterystyczny, brzęczący ton. Można regulować siłę uderzeń i otrzymać skutkiem tego dźwięki, to wyższe, to niższe, głośniejsze lub cichsze stosownie jak tego wymaga temperament tańca.

Na lewo:
Już w pierwszym ruchu tancerki wyraża się cały wdzięk Hiszpanki.

Na prawo:
Kastaniety brzmią. Typowa postawa w tańcu zwanym „Sevilla".

U dołu na prawo i na lewo:
Tancerka zręcznie uderzając palcami nadaje odpowiedni ton kastanietom.

U dołu:
Również i bez kastanietów przy pomocy samych rąk potrafi hiszpańska tancerka nadać pełnię wyrazu tańcowi.

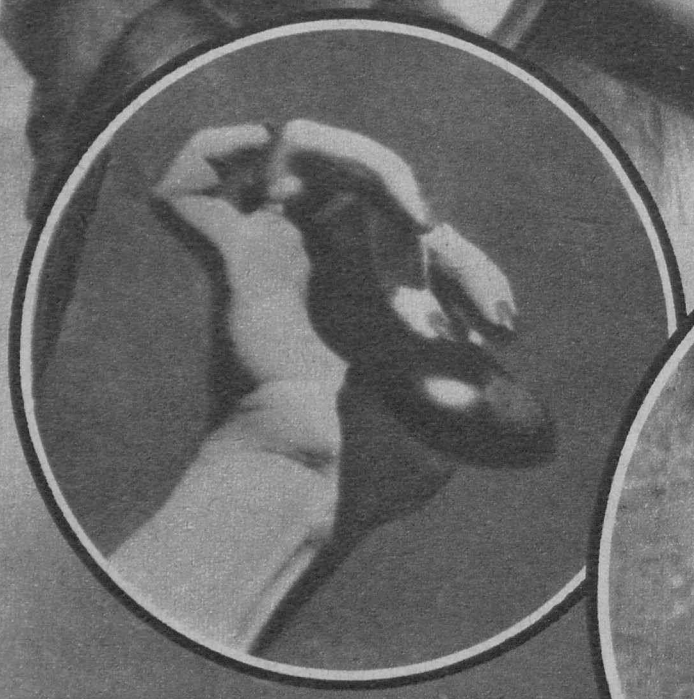

Poza z klasycznego tańca andaluzyjskiego „Jaleo".

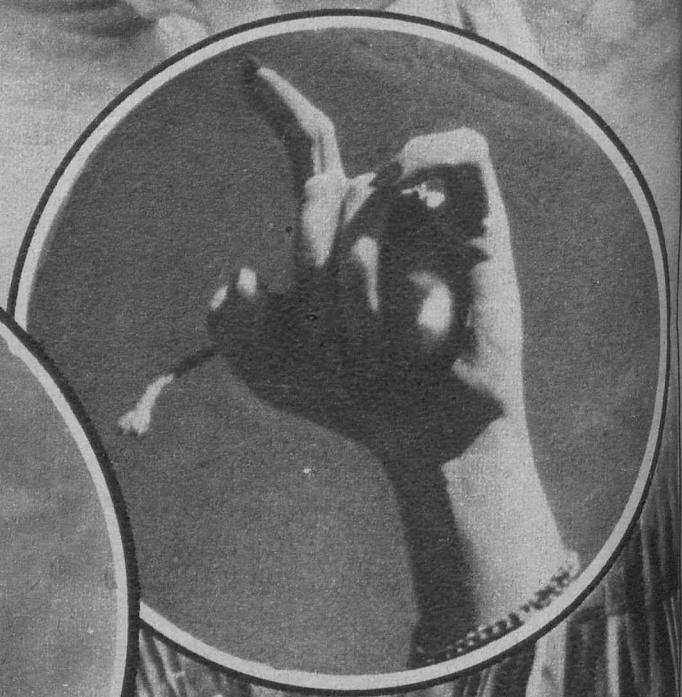

Hiszpańska tancerka Lolita Gallego w tańcu „Oriental".